

Will will. Will Jul?

Przepraszam, wszystkich niezainteresowanych, ale znów będzie o klasyce. Nie może być inaczej, skoro mamy kwiecień - miesiąc rocznicy śmierci największego klasyka polskiego teatru, najwyżej cenionego przez twórców i publiczność, jedyne, który ma poświęcony wyłącznie jego sztukom międzynarodowy festiwal oraz teatr specjalnie zbudowany na potrzeby ich inscenizacji. Oczywiście wszyscy już wiedzą - tym polskim super klasykiem jest William Shakespeare - pisze Dariusz Kosiński.



zdj. Krzysztof Bieliński

Jest to pisarz tak powszechnie szanowany i tak niekontrowersyjny, że nawet Polskie Towarzystwo Badań Teatralnych uznało, że 23 kwietnia to najlepszy dzień na wręczanie corocznych nagród. Inne daty - związane bardziej bezpośrednio z dziejami polskiego teatru - okazywały się problematyczne, bo

zawsze znalazł się ktoś, komu potencjalnie mogły się nie podobać. A Shakespeare taki uniwersalny i ponadczasowy, że zapewnia nam spokój, poczucie wartości oraz przynależność do światowej wspólnoty ludzi kultury. Zresztą i tak naszym językiem codziennym jest angielski, więc to właściwie pisarz rodzimy i bliski nam jak żaden inny.

Na pewno bliższy niż ten biedny egotyk i opiumista, który przypadkiem również zmarł w kwietniu po niespełna 40 latach życia. On wprawdzie też pisał dramaty i czasem jakiś szaleniec jeszcze je wystawia, ale tego, co pisał, właściwie nie da się zrozumieć, bo język jakiś dziwny, postacie zachowują się histerycznie i gadają albo o Polsce, albo o Bogu, albo o jeszcze jakichś innych kłopotliwych sprawach. Więc jego dwusetną rocznicę urodzin sprzed siedmiu lat obchodziliśmy raczej z dala i nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, by choćby spróbować poważnie i konsekwentnie zająć się w teatrze wyłącznie jego twórczością.

Nie mam nic do Shakespeare'a, a dokonania prof. Limona podziwiam. Ale dysproporcja w relacjach polskiej sceny do Willa i Julia nie przestaje mnie zadziwiać i złościć. Jasne, że polska kultura ma kompleksy, które sobie leczy podłączając się pod światowe marki. Jasne, że na międzynarodowym rynku trzeba grać zgodnie z regułami i do Awinionu czy Edynburga zawieść trzeba opowieści Szekspirowskie. Ale mniej chodzi mi o rynek międzynarodowy, a bardziej o tę wewnętrzną, rodzimą niechęć do Słowackiego, to poczucie, że on jest anachroniczny i lokalny do bólu, podczas gdy Shakespeare zawsze współczesny. Zapewne wydam się większości z Was nieco szalony, ale moim zdaniem autor tak zwanego "Fantazego" to pisarz teatralny daleko nowocześniejszy od autora "Otella", bliższy naszemu sposobowi doświadczania siebie i świata. Przewyższa też Stratfordczyka (i to znacznie!) jakością poezji, mistrzostwem języka. Powtórzę to, co powtarzam przy każdej nadarzającej się okazji za granicą: gdyby bawić się w rankingi (a któż tego nie lubi?!) i wymienić pięciu największych twórców w dziejach pisarstwa teatralnego, to w tej piątce na pewno znaleźć się powinno tych dwóch: Słowacki i Shakespeare. Ja dodałbym jeszcze Eurypidesa, Czechowa i Becketta, ale co do tej trójki mogę zgodzić się na ustępstwa i zmiany (może raczej Ibsen niż Czechow? może Calderon zamiast Eurypidesa?). Natomiast tamta dwójka jest dla mnie niekwestionowalna, przy czym w swoim osobistym rankingu pierwszeństwo przyznaję Słowackiemu, który - powtórzę - jest lepszym poetą i artystą par excellence dramatycznym (w odróżnieniu od retora ze Stratfordu).

Twórca "Beatrix Cenci" widział i przedstawiał ludzi w całej ich złożoności, niekonsekwencji, migotliwości i zmienności. Mistrzowsko dramatyzował to, co Szekspir zaledwie przeczuwał w "Hamlecie", a do czego nie zbliżył się nawet w innych swoich dramatach. Zapewne dlatego nie jest lubiany i czytany nawet przez osoby posługujące się podobnym (bo przecież nie tym samym!) językiem. Nikt przecież nie lubi, gdy się mu bez ogródek pokazuje nieprzyjemną prawdę i na przykład zamiast jednolitego i wzniośle zbuntowanego bohatera, co to z kochanka kobiety zamienia się w kochanka Ojczyzny, pokazuje niedojrzałego chłopca miotającego się rozpaczliwie w poszukiwaniu jakiegokolwiek sensu. Uwierzyć, że jest się narodem takich chłopców, którzy w końcu wpadają w łapy szatana i dają się głupio, ale wzniośle zabić, jest o wiele trudniej, niż pomówić autora, że sam był gówniarzem, albo uznać, że splagiatował dzieło pierwszego poety Polaków. Można też wykorzystać zwłoki artysty, by

zbudować sobie cokół pod własny pomnik, jego samego przygniatając wawelskim sarkofagiem i sąsiedztwem Mickiewicza. Zamknięty w krypcie i obowiązkowej lekturze już na pewno nie zakłóci nam spokoju.

Z niechęci do wysiłku, z niechęci do przeczuwanego nieprzyjemnego doświadczenia spotkania z samymi sobą jako rozedrganym bezformiem zagłuszyliśmy tego wielkiego pisarza, który nie chce dać nam pożyć. Wolimy Willa. Will jest odpowiednio kulturalny, ucukrowany i uleżały. Will zapewnia nam chwilę refleksji godnej ludzi wykształconych i na wysokościach, nie mącąc przy tym dobrego nastroju i nie psując wykwintnej kolacji, którą spokojnie zjemy po przedstawieniu. Will sprawia też, że czujemy się częścią europejskiej, ba - ludzkiej wspólnoty kulturowej. Na przedstawienie Willa można spokojnie pójść w środku wakacji, mijając stragany turystycznego jarmarku. Willowi można i trzeba zbudować specjalny teatr, taki sam jak ma w Londynie, bo dzięki temu nasz marginalny kraj poczuje się choć trochę bliżej centrum. A my też, my też mamy takie jak wy!

Wiem, wiem. Zaraz ktoś powie, że podskakuję z tym Słowackim, bo sam mam kompleksy i odreagowuję je, wymachując poetą, który dorównuje, a nawet przewyższa. Nawet jeśli, to wolę takie odreagowanie niż to, które każe podłączać się na siłę do wielkości wywindowanej globalnie głównie dzięki poimperialnemu zwycięstwu angielszczyzny, opłaconemu krwią wymordowanych mieszkańców Ameryki Północnej. Ja zresztą wcale nie chcę świata Słowackiego na siłę wciskać, choć uważam, że by się światu bardzo przydał. Ja bym tylko chciał, żeby polska kultura i humanistyka podjęły choćby częściowo, choćby załączkowo taki wysiłek, jaki angielska od kilkuset lat konsekwentnie podejmuje na rzecz Shakespeare'a.

Teraz serio i bez ironii: jeśli mamy poważnie potraktować deklaracje na rzecz przywrócenia czy odbudowy tradycji polskiej sztuki teatralnej, jeśli składane są one szczerze i niekoniunkturalnie, jeśli chodzi w nich o coś innego niż o znalezienie kija na ideowych przeciwników, to zabierzmy się w końcu do poważnej roboty. Powołajmy Centrum Słowackiego - ośrodek stałych, praktycznych, naukowych i artystycznych badań nad jego twórczością. Zaprośmy do współpracy jej znawców od Jarosława Marka Rymkiewicza po Marka Troszyńskiego i Michała Kuziaka. Zaprośmy reżyserów, których ta twórczość ciekawi, od Macieja i Jana Englertów po Michała Zadarę i Pawła Świątkę. Zapewnijmy im spokój pracy i zespół niezbędnych partnerów, w tym aktorów - dojrzałych i młodych - którzy zechcą

taką pracę podjąć. Oczywiście trzeba im wszystkim dać godziwe wynagrodzenie, bo trudno sobie wyobrazić, żeby pracując w takim Centrum wieczorami grali w sitcomie i reklamowali nowe oferty banków. Dajmy im niezbędny czas i oddzielmy od wpływów metropolii, urządzając miejsce do pracy w jakimś defaworyzowanym regionie, na przykład na Podlasiu lub Podkarpaciu (w Krzemieńcu może być trudno...). Niech na początek przygotują jedno, dwa przedstawienia rocznie, z którymi potem będą podróżować po całym kraju, wystawiając Słowackiego w całości, bez przemontowań i skreśleń (co nie znaczy - bez twórczej inwencji). Stopniowo odtworzymy sceniczny kanon Juliusza, jako podstawę do dalszych twórczych eksperymentów, realizowanych także przez Centrum, a może już wręcz przez Narodowy Teatr Słowackiego. Stopniowo powiększając zespół i budżet, włączajmy do repertuaru innych wielkich, poczynając od najbliższego Juliuszowi - Stanisława Wyspiańskiego.

Przygotowujmy też rzecz jasna przekłady, racjonalnie wybierając tytuły i wcale niekoniecznie zaczynając od tego, co historycznie ustanowiło się nam jako najważniejsze. Może na początek niech pójdzie "Beatrix Cenci", do której zachęcimy używając mojego ulubionego argumentu, że gdyby Artaud znał polski, nie musiałby się męczyć pisaniem własnego scenariusza dla teatru okrucieństwa. Zapraszamy zagranicznych reżyserów do pracy nad Słowackim (ale do pracy - nie do odwalania zleconych chałtur). Niech Niemiec zmierzy się z prequelem do Schillera, a Anglik z poprawionym Shelleyem... No i oczywiście wydawajmy! Wydajmy w końcu nową edycję krytyczną i całą serię edycji popularnych. Wymyślajmy gry, seriale animowane, gadżety. Piszmy biografie, powieści, fantazje i komiksy. Badajmy Jula, grajmy Jula i bawmy się Julem. Zobaczmy, jaki z niego rewolucjonista i ironista. I jak bardzo nasza klasyka i tradycja są progresywne i innowacyjne.

Czy to naprawdę brzmi jak utopia? Jak marzenie nawiedzonego? Czego nam brak, by zacząć? Pieniądzy? Nie sądzę. Wiary? Przekonania, że to ma sens i szansę powodzenia? Jeśli tak, to kwiecień - miesiąc polskiej klasyki teatralnej - jest miesiącem najokrutniejszym. Miesiącem przyznania się do klęski.

Na zdjęciu: "Fantazy" w reż. Michała Zadary w Teatrze Powszechnym w Warszawie